Jan B. Nycek: Wywiad ze Zbigniewem Nienackim "Skandal czy literatura?"

Tygodni Płocki nr 14, 7.04.1985

Rozmowa z pisarzem Zbigniewem Nienackim

- Tworzy Pan od wielu lat z dala od wielkich centrów kulturalnych i opiniotwórczych. Czy ten brak codziennego kontaktu z tzw. środowiskiem panu przeszkadza? A może pomaga?

- To naprawdę nie ma znaczenia, gdzie się mieszka, ale co i jak się tworzy. Nie wiem, co pan ma na myśli, mówiąc o wielkich centrach kulturotwórczych. Kraków? Warszawę? To przecież najgłębsze prowincje. Mała wioska Jerzwałd jest o wiele większym centrum kulturotwórczym i spotka pan w niej więcej pisarzy, którzy tu przyjeżdżają, szczególnie latem, niż na Krakowskim Przedmieściu. Co zaś tyczy tzw. ciał opiniotwórczych, to one sprowadzają się do kilku hałaśliwych ludzi zgrupowanych wokół jednego czasopisma. Chce pan receptę na popularność w całym kraju? Niech wasz tygodnik przez jakiś czas bez przerwy podrwiwa sobie na przykład z felietonów Passenta. Będą go czytali w całym kraju, nawet zostanie on omówiony przez "New York Times'a".

- Od pańskiego debiutu książkowego minęło już prawie trzydzieści lat. Wielu zapomniało, że była to powieść "Uroczysko", osnuta na kanwie po części autentycznych zdarzeń, mających miejsce w czasie prowadzonych pod Łęczycą wykopalisk archeologicznych...

- Tak. To był mój debiut. Pewien krytyk napisał o nim, że „ta książka może być przykładem, jak nie należy pisać książek". I dodał, że „Zbigniew Nienacki nie przejdzie do literatury polskiej". Ale stało się inaczej. Właśnie ta książka doczekała się aż sześciu wydań jej fragment jest w podręczniku szkolnym "Słowo Ojczyste", dzieci uczą się z niej pisać i mówić po polsku. Krytycy, jak z tego widać, prawie zawsze mylą się w swoich prognozach.

- Pański rodowód pisarski wywodzi się z dziennikarstwa. Co zdecydowało, że porzucił pan publicystykę na rzecz literatury?

- Publicystyka to sprawa doraźnego ingerowania w rzeczywistość. A mnie interesuje koncepcja losu ludzkiego. To już domena literatury.

- Jest pan autorem wielu książek, adresowanych głównie do młodocianego czytelnika, czy wręcz dzieci. Cykl z panem Samochodzikiem uzyskał popularność bliską Tomkowi Wilimowskiemu z powieściowego serialu Alfreda Szklarskiego. Sądzę, że każda następna rzecz z tego gatunku spotkałaby się z nie mniejszym zainteresowaniem. Pisarstwo dla dorosłych niesie ze sobą znacznie większe niebezpieczeństwo, zwłaszcza dla autora zaszufladkowanego jako: pisarz dla młodzieży. Czy mając utrwaloną pozycję na rynku księgarskim warto było ryzykować?

- Jestem i byłem autorem książek przygodowych, zapewne dlatego, że i sam lubię przygodę. Do gatunku przygód zaliczam swoje spotkania z literaturą. Przygoda zaś zawsze niesie ze sobą element ryzyka. Zresztą, jak sądzę, pozostałem pisarzem dla młodzieży. Mój "Uwodziciel" i "Raz w roku w Skiroławkach" to także książki dla młodzieży, choćby ze względu na swój dydaktyzm. Oczywiście, dla młodzieży starszej. Myślę, że doczeka pan czasów, gdy wejdą do literatury dla ósmej klasy. Za mojego życia taki Hemingway był autorem dla dorosłych, teraz jest autorem dla młodzieży. Właściwością bowiem młodzieży jest to, że dorasta, natomiast niektórzy starsi dziecinnieją.

- W "Uwodzicielu", będącym niejako zapowiedzią osławionych "Skiroławek", dokonał pan rozrachunku z własną osobą i twórczością, nawet więcej, ze środowiskiem, które pan reprezentuje. Na ile była to spowiedź szczera?

- To była wypowiedź ostrożna. Gdybym napisał to, co naprawdę myślę o literaturze, nikt by mi takiej książki nie opublikował. Prawdziwy "Uwodziciel" ma ponad tysiąc stron. Zredukowałem go do czterystu, reszta zostanie opublikowana za 25 lat, taka jest umowa z biblioteką, w której złożyłem na przechowanie cały maszynopis.

- Dwutomowa powieść "Raz w roku w Skiroławkach" bezsprzecznie stanowi wydarzenie w polskiej literaturze współczesnej. Mimo drugiego wydania i dość wysokiego nakładu rozeszła się spod lady. Czy skandalizując powieść spodziewał się pan takiego sukcesu?

- Co pan rozumie przez słowo „skandalizując”? To nie ja skandalizowałem, a różni felietoniści i byli harcerze w rodzaju Koźniewskiego szarpali na sobie szaty i skandalizowali. Oczywiście, że oczekiwałem sukcesu czytelniczego. Zawsze pisałem bestsellery. Ta książka, nad która kończę pracę, też taką będzie. A gdy ukaże się "Pan samochodzik i człowiek z UFO" (wkrótce zresztą) znowu będzie ją pan kupował spod lady. Tajemnica sukcesu zamyka się w tym, że trzeba mieć talent i trochę szanować czytelników, nie traktować ich jak głupców, nie wmawiać im, że są kretynami, którzy nie są w stanie pojąć „wielkich dzieł”. Niektórzy pisarze tworzą dla krytyków. I mylą się, ponieważ krytycy na ogół także zawsze się mylą.

- Jaki jest pański stosunek do tej powieści, a zwłaszcza jej bohaterów? Galeria postaci przewijających się na kartkach książki jest długa, zaś łączy ich wszystkich wspólny mianownik - chuć. Na ile słusznie? Przecież bogactwo życia nie składa się jedynie z łóżka...

- Czy my naprawdę rozmawiamy o tej samej książce, o "Raz w roku w Skiroławkach"? W mojej powieści ludzi łączą wielorakie więzi i zaszłości z czasów przedwojennych, wojennych, powojennych. Czy to „chuć”, jak pan powiada, każe prowadzić Niegłowiczowi swojego syna na cmentarz, gdzie jest urna z prochami kobiety, którą kocha mimo upływu wielu lat i prosi go, aby się modlił, a właściwie uczy go modlitwy? Czy to chuć każe zabić mordercę małych dziewczynek, czy też środowiskowe pojęcie sprawiedliwości? Czy to chuć każe kłaść kwiaty na grobie chorążego Niegłowicza, który był „człowiekiem sprawiedliwym”? Czy to chuć każe Bruno Kriwce głosić hasła separatyzmu? A poza tym, mam do pana pytanie: ile czasu spędza pan w łóżku? Zapewne połowę życia, tak jak każdy człowiek. Żyjemy w kraju o największym przyroście naturalnym w Europie. Nie słyszałem jednak o tym, aby u nas dzieci powstawały w probówkach. Prawdopodobnie dzieje się to w łóżkach. Czy mam rozumieć pana pytanie, iż zależy panu na literaturze, która nie mówi prawdy o świecie?

- Wielu czytelników stara się szukać pierwowzorów literackich "Raz w roku w Skiroławkach". Podejrzewam, że zagubiona w lasach mazurskich wioska, o złożonych losach jej mieszkańców i dość specyficznym dniu dzisiejszym, naprawdę nazywa się Jarzwałd.

- Czytelnicy nie identyfikują Jerzwałdu z literackim "Skiroławkami". Czytelnicy są na ogół mądrymi ludźmi. To niektórzy felietoniści mylą całą sprawę i przyjeżdżają do mojej wioski, szukając w niej pierwowzorów. Prawdopodobnie mieli dwóję z polskiego. Nie uczono ich, co to jest „fikcja literacka”.

- Na ile kobiety uważają pana za supermena, może inaczej - w jakim stopniu przygody pańskich bohaterów ze Skiroławek są wytworem fantazji?

- Kobiety nie są takie naiwne, aby autora identyfikować z bohaterami. Supermenów to one szukają w swoim otoczeniu i te, które potrafią się rozglądać na ogół ich znajdują, albo sobie stwarzają. Jestem bowiem zdania, że to kobieta stwarza mężczyznę swoich marzeń.

- "Skiroławki" są moralitetem, to oczywiste. Nawet pewne przerysowania w fabule można usprawiedliwić. Tymczasem język mówiący o najwznioślejszym z uczuć - o miłości, zbyt często sprowadza pan do parteru, koncentrując się jedynie na aktach kopulacji. Zresztą czytelnikowi niczego pan nie oszczędził, jest zdrada, sadyzm, gwałt, sodomia, perwersja, a nawet kazirodztwo. Dla niektórych w tym właśnie kulcie penisa zasadza się cała atrakcyjność utworu.

- Ciągle powołuje się pan na jakichś „czytelników". Anonimowych. To zbyt łatwe, proszę pana. Niech pan powie swoje zdanie. Bo co do czytelników, to ja od nich dostaję setki listów, które chętnie opublikuję w waszym czasopiśmie. Z nazwiskami i adresami. Oni mi piszą, że książka dała im ogromną radość, pozwala żyć w trudnych warunkach, pozwala zrozumieć wiele problemów z własnego i cudzego życia. Niektórzy jako podziękowanie za książkę przysyłają mi przedmioty, które lubią, lub sami wytworzyli: obrazy, czarną kawę, dobrą herbatę. Nie dostałem ani jednego obraźliwego listu od żadnego czytelnika. Dlatego bardzo proszę o konkrety, nazwiska, adresy.

- Oczywiście, jeśli pan sobie życzy, prześlemy. Osławiony felieton Daniela Passenta i wszystko, co potem nastąpiło w gruncie rzeczy było wielkim publicity dla autora. Jaką cenę pan za to zapłacił?

- Nie zapłaciłem żadnej ceny. To oni zapłacili. Śmiesznością. Bo śmieszni są ojcowie Pirożyńscy w naszych czasach. Tym bardziej śmieszni i żałośni, że chcą jednocześnie uchodzić za ludzi postępowych, ba, lewicowych. Tymczasem nie zaatakował mnie ani jeden publicysta katolicki, czy któreś z pism katolickich. Podejrzewam, że w Kościele nie ma już ojców Pirożyńskich, przenieśli się do czasopism określających się jako lewicowe.

- Jakie szanse mają "Skiroławki" na przykład dajmy na to na język czeski, niemiecki, bądź rosyjski?

- Nie mam pojęcia. Tym zajmuje się wyspecjalizowana Agencja Autorska.

- Czy spotkał się pan po dwu ostatnich swoich powieściach z negatywnym doń stosunkiem środowiska pisarskiego?

- Nie. Nie znam żadnego pisarza, który negatywnie ustosunkowałby się do mojej książki. Przynajmniej publicznie. Pisarze zbyt dobrze zdawali sobie sprawę, że walczyłem nie o "Skiroławki" jako o książkę, ale o poszerzenie sfery wolności pisania o tym, o czym pisarz chce pisać.

- Czy jest pan akceptowany przez środowisko, w którym panu przyszło, zresztą z własnej woli, żyć i pracować?

- Myślę, że jestem akceptowany. Czy w przeciwnym razie wybrano by mnie członkiem ZG ZLP oraz prezesem olsztyńskiego oddziału ZLP?

- Proszę o określenie pańskiego credo jako pisarza i działacza społecznego?

- Nie mam żadnego konkretnego „credo". Po prostu uważam, że człowiek powinien żyć nie tylko „do siebie", ale i „od siebie" także dla innych. Bardzo kocham ludzi i chcę im sprawiać radość, chcę być przez nich kochany jako człowiek i jako pisarz. Ale tylko neurotyk może sobie wyobrażać, że będzie kochany przez wszystkich. Wcale nie chcę być kochany przez Passenta, Grońskiego, Koźniewskiego, czy pana Pietrasika. Wystarczy, że będą mnie kochać ich dzieci lub wnuki, jeśli je posiadają.

- Kto i o czym do pana pisze?

- Dostaję około trzydziestu listów tygodniowo. Przeważnie od młodzieży. Pytają mnie w listach, czy piszę prawdę. Wnioskuję z tego, że pragnienie prawdy jest najsilniejszym uczuciem, jakie cechuje młode pokolenie. Postaram się ich nie zawieść. Będę dla nich pisał prawdę o życiu takim, jakim ono jest, ale nie takim, jakie chcieliby je widzieć tacy, czy inni felietoniści. Wychowanie „pod kloszem” nie przynosi dobrych skutków. Gdy wyrosną z "Samochodzików" niech czytają "Uwodziciela" i "Skiroławki". Niech zetkną się z brutalnością w literaturze, bo może ich uodporni na brutalność, z jaką czyha na nich dorosłe życie. Zresztą powiem panu prawdę: oni z brutalnością życia spotykają się wcześniej niż pan sądzi. Są maltretowani w rozbitych małżeństwach, przez silniejszych kolegów, przez ojców pijaków, albo matki pijaczki, zmuszani do prostytucji. Czy pan wie jaki wielki zakres obejmuje u nas obszar „patologii społecznej”. Ile mamy rozwodów. Ilu nałogowych alkoholików, którzy niszczą nie tylko siebie, ale i swoje rodziny?

- Jaka będzie następna pańska powieść?

- Kończę dużą powieść zatytułowaną "Wielki las". Będzie zaskoczeniem dla czytelników. O druk tej książki w odcinkach zwróciło się do mnie kilka tygodników. Na razie - odmawiam. Cyzeluję ją jeszcze i dopieszczam. Mówiłem, że lubię przygody. Przygoda z tą książką jeszcze się dla mnie nie skończyła.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
Jan B. Nycek